

Wychodzi dwa razy dziennie

z wyjątkiem niedziel
rano o godz. 7 1/2 i popołudniu o godz. 3.

Prenumerata we Lwowie:

miesięcznie 1 zł. — ct.
i dwukrotną dostawą do domu 1 „ 30 „

Prenumerata na prowincji:

miesięcznie 1 zł. 10 ct.
i dwukrotną dostawą do domu 1 „ 30 „

kwartalnie 4 „ 30 „

kwartalnie 4 „ 30 „

Nakładem Spółki wydawniczej we Lwowie, Stow. zar. z ogr. poręką.

WYDAWAŁ: STANISŁAW SZCZEPANOWSKI.

Adres „Słowa Polskiego“: Lwów, ul. Karola Ludwika 13, Telefonu Nr. 402

SŁOWO POLSKIE

Prenumerata

w Niemczech miesięcznie 1 zł 50 ct
w innych krajach „ 3 „

Ogłoszenia

za jeden wiersz pięcioletni albo jego część 30 ct

Numer pojedynczy:

wydania rocznego 3 „ 2 ct
wyczerpnego 3 „ 4 ct
oba wydania razem 6 „ 6 ct

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Prosimy o rychłe odnowienie prenumeraty celem uniknięcia przerwy w dalszej przesyłce dziennika.

Warunki prenumeraty wyżej.

Lwów, 15 września.

General Weyler miał być owym bożyszczem dla Hiszpanii, które najpiękniejszą jej kolonię, „perłę Antyllów“, zrewoltowaną i zwulkanizowaną powstaniem Kubę, miało zatrzymać przy państwie macierzystem. Kiedy Weyler, Niemiec z pochodzenia, odbierał z rąk sędziwego Martinez-Camposa oznaki generalissima armii, otrzymała hiszpańska królowa rejentka niezliczoną ilość deperz gratulacyjnych, a nawet cesarz Franciszek Józef, sam doświadczony wódz i rzadki znawca ludzi, pospieszył z wyrażeniem królowej Krystynie życzeń z powodu szczęśliwego wyboru. Ów Martinez Campos, zestarczał w ogniu bojowym generał, człowiek popularny i słynny daleko poza Pireneami, wydał się zniecierpliwionej opinii publicznej w Hiszpanii kunktatorem, wkrzeszonym Fabrycyszem, który przez straszną politykę strategiczną opóźniał triumfy hiszpańskich oręża. Zjawił się mąż czynu, — Weyler... Miesiące płynęły po mi siarach, a wraz z nimi słoneczne prawdziwie biuletyny z pola walk. Biuletyny te przypominały wprawdzie raporty rosyjskie o jednym kozacku, który sciał trupem całe szeregi nieprzyjacielskie — ale w Madrycie, wierzone w nie — bo wierzyć chciano, a może nawet ze względu na sytuację wewnętrzną wierzyć musiano. Pisma jednak amerykańskie zdziwały co chwila zasłonę z tajemniczych zwycięstw Weylera, przedstawiając je w świetle triumfów Pryhusa, lub zwykłych, zgręcznie maskowanych porażek. Wyszła też na jaw inna, smutna w dzisiejszych stosunkach cywilizacyjnych strona General Weyler zdołał sobie w krótkim czasie pozyskać przydomki rzeźnika, — a herostrowe jego postępowanie z powstancami wywoływało okrzyk grozy i oburzenia w całej czującej i myślącej Europie. Ponuro i ciemno zarysowała się jego sylwetka. Wyonł się nagle, jak potężny demon śmierci, czający na życie i mienie ludzkie.

Nie podobna było wyciapać powstanców w zapadłych gniazdach górskich, nie podobna było zgnieść szerokim rozmachem militarnym gęty lasy — więc trzeba spróbować ognia i grodu. Rozciągnął atem Weyler ostawione już dziś lańcuchy „trochas“, które miały izolować wroga w kątach wyspy i równocześnie puszczał z dymem pożarów sioła rokosz. Przykład się znalazł w historii wieków średnich. Tak samo postępował niegdyś Narses we Włoszech z Gotami wschodnimi i z do brym skutkiem. Dlaczego srodki, wypróbowane w zaraniu wieków średnich — nie przydały się jeszcze dzisiaj? Stało się... Lańcuchy „trochas“ przełamali jednak Maceo i Weyler nie mógł się dłużej bawić w Narsesa. Kwitło okrucieństwo, rozszerzała się krwawa gospodarka Hiszpanów na wyspie, ciągle bez skutku, bez widocznej korzyści dla Hiszpanów. Zapelniał się wyczerpanie w Ceucie, głód seiskał gardła mięsom, pożary szeroką łuną świeciły ich powstańczym obozom, a widmo

złotej febrzy szło z końca na koniec wyspy. Za „lwią ryćskosć“ Weylera płacono w Madrycie kiedy niekiedy upokorzeniem i wszystko wracało do dawnego porządku. Stało się to dopiero ostatnim razem, przed niespełną trzema tygodniami — gdy na interwencyę Stanów Zjednoczonych ulaskawiono w Madrycie pannę Cisneros, skazaną przez Weylera na dwadzieścia lat ciężkiego więzienia.

Opozycya, potępiająca gospodarkę Weylera zaczęła głowę podnosić. Rozmaitości generalowie hiszpańscy krytykowali niedwuznacznie niedołężny sposób prowadzenia wojny, a na ich czele stanął generał Pando, który dowodził w fachowym piśmie wojskowym, iż, chociaż wysłano na Kubę 200-000 żołnierza, pomimo to wschodnie prowincje wyspy ogolone są z załóg hiszpańskich. Skargi były, jak się obecnie okazuje, aż nadto usprawiedliwione. Powstancim udało się 30 zeszłego miesiąca zdobyć bardzo ważny punkt strategiczny, twierdzę Wiktorya de las Tunas w prowincji w Santiago, na drodze głównej z Puerta Principe do Santiago de Cuba.

Wiktoryę oblegali powstańcy podobno przez przeszło dwa tygodnie, mimo to nie otrzymali ona znikąd skursu. Cztery dnią grzmiały bezustannie w obozie oblegających kule armatnie krzyżowały się z granatami dynamitowymi. Hiszpanie po rozpaczywej obronie kapitulowali, otrzymawszy pozwolenie opuszczenia miasta, do którego objęcia rządowi przez siebie. Silvela znowu, widoma głowa lewego skrzydła konserwatystów, domaga się wysłania na Kubę generała Blanco, który służył w zaradku powstanie na Filipinach i potem, wskutek osobistego konfliktu z ministrem wojny, ustąpił. W każdym razie należy oczekiwać w najbliższej przyszłości odwołania Weylera, który w opowieściach i skazkach na długo pozostawi na Kubie pamięć o sobie.

czajnych wkładów. Pchają oni zatem swego wybrańca do czynu — a tym czynem byłoby w pierwszy rzędzie uznanie powstańców za stronę, prowadzącą wojnę. Według prawa międzynarodowego mogłaby wtenczas Unia urzędowo występować na drodze dyplomatycznej w ich obronie i wraz z innemi państwami, wywierać czynną ingerencyę na tok spraw kubanских. Takie uznanie byłoby zresztą sankcjonowaniem legalności powstania, a tem samem potępieniem Hiszpanii i podaniem w wątpliwość jej rządów na wyspie.

Kłeska pod Wiktoryą oddziała oczywiście i to oddziała w niedających się na razie przewidzieć rozmiarach, na położenie wewnętrzne w samej Hiszpanii. Karliści, anarchiści, republikańscy znowu zyskują jedyną szansę przez pogrom Weylera. Ponadto Hiszpania stoi nad przepaścią bankrutstwa finansowego. Od czasu dwuletniej wojny kolonialnej wyrzuciła półtora miliona pesetów na cele ekspedycyi i wstrzymała regularną wypłatę pensyj urzędnikom i wojsku. Dziś Hiszpania może podać rękę Grecji — bo tak jedna, jak druga, pozostały w królestwach jedynie łachmanach. To istotny zachód słońca w państwie, w którym „słońce nigdy nie zachodziło“.

Wylaniają się też ciągle projekta o zmianie ministerstwa. Mężem przyszłości ma być Sagasta, wódz liberałów. Zapowiedział on nadanie Kubie autonomii, na wypadek objęcia rządu przez siebie. Silvela znowu, widoma głowa lewego skrzydła konserwatystów, domaga się wysłania na Kubę generała Blanco, który służył w zaradku powstanie na Filipinach i potem, wskutek osobistego konfliktu z ministrem wojny, ustąpił. W każdym razie należy oczekiwać w najbliższej przyszłości odwołania Weylera, który w opowieściach i skazkach na długo pozostawi na Kubie pamięć o sobie.

Listy londyńskie.

Londyn 8 września.

(?) Wiadomość, że po siednastotygodniowych rokowaniach nad preliminarzami traktatu pokojowego grecko-tureckiego, nastąpił porozumienie nastąpiło, i że nastąpił wskutek przyjęcia propozycyi lorda Salisbury została przychylnie przyjęta przez angielską. Pojął to Anglię nie mogli, że ich rząd obwiniony był właśnie o przewlekanie rokowań, podczas gdy sympatye narodu stają tu tak wybitnie i tak jawnie po stronie Grecji, iż jedynie niebezpieczeństwo, jakiego rząd się obawiał, było, ażeby nie oskarżono go o faworyzowanie interesów Turcji. Z góry możemy przewidzieć, że po zebraniu parlamentu, opozycya będzie surowo traktowała pierwszego ministra za niepozyskanie lepszych warunków dla Grecji. Służniejszym będzie zarzut, że zbyt długo przewlekł z przedłożeniem propozycyi, ale wynagrodził to w końcu całą serją takowych i gdy odrzucano je, przedstawiał drugie. Na usprawiedliwienie szlachetnego lorda, trzeba powiedzieć, że sciesniał swe projekta w miarę, jak szerzej nie przypadały do smaku wielkim mocarstwom. Jedną rzeczą jest widoczna, że przebieg tych negocyacji, nie przyczynił się do polepszenia stosunków pomiędzy Anglią a Niemcami, uważanymi tutaj za nieprzejednanych przeciwników Grecji. Co za przypuszczenia fanta-

styczne, czytać można w najpoważniejszych organach prasy. Są, co podejrzują cesarza Wilhelma, iż miał zamiar sam dla siebie wziąć Grecyę w zastaw owych 24 mil. f. szt. greckiej pożyczki, znajdującej się w rękach niemieckich finansistów.

Wiadomości z Indji nie zwiastują jeszcze tryumfu nad zbuntowanymi plemionami, ale nikt się tu tak szybkiego końca nie spodziewa. Wojna partyzancka, uganianie się za koczującymi bandami, wśród gorskich wawozów, gdzie o zasadki łatwo, przedstawia trudności olbrzymie. Nikt atoli nie podaje w wątpliwość oddalonego może, ale mimo to nieodzownego usmierzania buntu. Niebezpieczeństwo było podwójne: interwencya Afganistanu i bunt wewnątrz Indji. Oba przestały grozić Anglii. Abdul Rhaman nie tylko oświadczył się z przyjaznemi uczuciami względem Anglii, ale udowodnił ich szczerosć oddając swą armię na rozporządzenie Anglii w razie potrzeby. To samo uczyniło kilku radziów indyjskich. Ani jedno z 688 lenniczych państw, z których się składa Indostan, nie wzmieszało się do buntu północnych koczowniczych plemion. Ci, co w wyobraźni swej widzieli już nową wojnę Sepajów i utratę Indji przez Wielką Brytanię, muszą przystać się, że chęci swe wzięli za rzeczywistość.

W inną stronę zwrócona jest jednak w tej chwili uwaga publiczna — ku Sudanowi. Z razu wątpliwa, została wczoraj urzędowo potwierdzona niespodziewana wiadomość o zajęciu Berbercy przez armię ekspedycyjną Osman Digma, nie staczając walki, cofnął się w pustynie, do Metemneh, zasłaniając Khartum. Chociaż połączył się z resztą hord wojowniczych kalifa Abdullah, to jest oczywistem, że nie będzie w stanie stawić dłużej skutecznego oporu armii Sirdara Kitchener. Opinia angielska nie była przygotowana na tak szybkie postępy tego korpusu i byłaby zadowolona, gdyby Berber był zajęty przy końcu tegorocznej kampanii a nie u jej początku. Żyje w pamięci narodu niezgładzona jeszcze katastrofa Gordona, strata Khartumu, tryumf barbarzyńskiej dzicy nad cywilizacją i wszystkie trudności, jakie feldmarszałek Wolseley miał wtedy do zwalczania. Obecnie te ostatnie zmniejszyły się wielce. Nie Niemc. ale droga żelazna sprowadza już się do Sudanu w znacznej części przybory i potrzeby wojskowe; tam gdzie trzeba było tygodni, dnia wystarczy obecnie. Dowiadujemy się z licznych korespondencji, które nadeszły do dzienników londyńskich wczoraj, że Sirdar upoważnił korespondentów pounąć się naprzód z Wady-Halfa do Kermeh, i że droga żelazna, zbudowana pospiesznie przy pomocy żołnierzy, funkcjonuje już do tej ostatniej miejscowości. Nie wiadomo jakie są plany wojenne dalsze, ale prosty rozsądek wskazuje, że mahdyści przygotowują się do walnej obrony za murami Metemneh a w ostatniej linii — Khartum. Ponieważ taktyką angielsko-egipskiego oddziału jest postępować powoli, zabezpieczając sobie ciągle komunikacyę przez Nil z dolnym Egiptem, zatem być może, że nie posuną się dalej tej jesieni i pozostaną w Berberze. Rzut oka na mapę Sudanu wskazuje na ważność tej pozycyi i bliskość osiągnięcia końcowego celu. Nie dziwota tedy, że chociaż niedźwiedz nie zabity jeszcze, już o skórę jego idą targi.

Nie taką już dzienniki *Jingo*, że Egipt, w imieniu którego ta wyprawa do Sudanu była podjęta, służył tylko jako pretekst, że po

zabezpieczeniu komunikacyi pomiędzy Suahimem a Berberem. Anglia otworzy je z Khartumem a nakoniec z Ugandą jedną ze swych ostatnich zdobyczy tej strefy. Przypominają dalej obietnicę Włoch do oddania im Kassali, i śmiało rysuje się plan utworzenia na południu Egiptu wzdłuż wschodniego wybrzeża i środka Afryki brytanckiego mocarstwa. Upojeni takim widziadłem, Anglicy, jak zrozumieć łatwo, traktują każdą myśl wycofania się z Egiptu jako zbrodnie przeciwko ich narodowi i ich państwowemu polędo. W każdym razie Europa nie jest zaskoczona niespodzianem tem wzięciem w posiadanie Sudanu o elastycznych granicach i będzie mogła temu za pomocą planowi przeciwstawić swe własne a zapewne wręcz inne kombinacye.

W bruku życia londyńskim nie ma wielu nowości. Daszczę, lejące od miesiąca, sprowadzają wczesniej, niż zazwyczaj z letnich siedzi mieszkanców stolicy. Jako nowość zastają oni kilkadziesiąt elektrycznych dorożek, branych szturmem przez publiczność. Żółte te karetki, dla dwóch podróżnych wygodne, choć nie wytworne z pozoru, wynajmowane są po tych samych cenach, co konne.

Uwijają się gładko po ulicach, skręcając i zatrzymując się łatwo, a konie, które miały się lekać tych samochołów tajemniczych, jak nam zapowiadano, nie okazują żadnego wzruszenia, spotykając się z rywalami, co im wznoszącą zgubę w niedalekiej przyszłości. Inne za to harce wywołały tu w zeszłą niedzielę sensacyę. Kilkaset kobiet udało się na podmiejską wycieczkę w szeregach zwartych na welocepedach. Nic w tem nowego, ale nowością było to, że zarzucały skromną niewieściją spodnicę, co ukrywał zwykła ich kształy, przywdziały obojętne spodnie, rysujące plastycznie ich łyki i uda. Chociaż ulczna publiczność londyńska żadną przesadzoną wstydlivością nie grzeszy, uznała widocznie tę wystawę form niewieściją jako niewłaściwą, bo przyjęła te panie sykaniem, gwizdaniem i szyderskimi okrzykami. Postęp, który jest wypisany na naszym sztandarze, nie jest tak bezwzględny, jak przypuszczać by można. Owe racjonalne suknie, które uparcie chcą niektóre postępowe panie nam narzucać, nie trafiają do smaku masy. Mają zresztą przeciwko sobie niepokonanego antagonistę kokieteryjną kobietę.

KOESPONDENCYE.

(Listy oryginalne „Słowa Polskiego“).

Moskwa 8 września.

Dwanaście tylko godzin i to noc, spędziliśmy w podróży z Petersburga, ale znać tu, że jesteśmy o 2000 kilometrów od stacyi Szczakowoy. Wszystko, co tu widać, co za rozumie i słuszne, lub za niewygodne i do odrzucenia uważać musimy jest na wskroś charakterystycznym, odrębnym i rodzimym dla tego kraju. Pobyt tu należy do najciekawszych wrażeń podróży.

Zdaleka widać Moskwę a pasażer pociągu widzi i odczuwa zbliżenie się do wielkiego miasta. Po obu brzegach rzeki Moskwy i po brzegach małych jej rzeczek leży grom ten na szeregu wzgórz, z których najwyższemu może być centralne, zajęte pod budowlą Kremlu, ale nie dominuje ono jak chce tradycya nad miastem. Po ulicach, których bruk milczy wywołuje u przejeżdżających jakiś miłosier-

K. Rojan SZCZĘŚCIE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Ach, nudy jesteś, ze swymi moralami i głupią opinią publiczną. Nawet tak niewinnej zabawy mi wzbraniaś — zawołała Helena gniewnie, polykając łzy i umilkła. Dłuższą chwilę trwało milczenie. Andrzej przyciągnął rękopis przed siebie, otworzył go i zdawał się odczytywać go uważnie. Tymczasem Helena, spoglądając nań złościwie z boku, wilgotnymi paluszkami poczęła wodzić po lakierowanych drzwiach. Ruchem tym wywoływała niemiłosierny dźwięk, zgrzyt, chrzęst, pisk, świergot, słowem coś takiego, co nie ma w ludzkiej mowie dokładnie określonej nazwy. Każdy taki niezgodny dysonan, wiskając się w zbolatą głowę Andrzeja szarpał ją, rozchodząc się z niej po całym cieple i odzywał się aż w palcach u nóg. — Więc nie pojedziemy? — zawołała Helena nagle, przycem nacisnąła paluszkami jeszcze więcej na lakier. — Już powiedziałem — odrzekł Andrzej i oparł głowę na dłoniach, osłaniając niemi równocześnie uszy. — Ależ ja mam już gotową suknię! — Przysła ci się na inną zabawę. — Nie!... — zawołała Helena przez łzy i wybiegła do drugiego pokoju, zatraskując drzwi za sobą. Andrzej zwiślał głowę i uśmiechnął się nieznanie. Później wstał i wyszedł.

Był to pierwszy dzień rozpraw. O trzeciej zaczęły się obrady, przerwane przed południem.

Spojrzał na zegarek: była dopiero druga. Potrzebował ruchu i świeżego powietrza, zresztą postanowił usunąć się żonie z oczu, co wydało mu się w obecnej chwili najstosowniejszem.

Na schodach spostrzegł pannę Suszkiewicz, ukłonił się i wyszedł na ulicę.

— Gdzie pójde? — pomyślał. Było mu to obojętne, więc, nie odpowiadając na pytanie, szedł codzienną drogą, wiodącą do biura. Pograżał się tak w zadumie, że nawet nie zauważył Niewodowskiego, który zaszedłszy z boku, ujął go pod ramię.

Coż to dyrektorze, nie poznajesz mnie już? — zapytał.

— A, jak się masz?!

— Układaś zapewne mowę? Dziś pierwszy dzień obrad? co?

— A tak, tak, właśnie. Jakże ci się powodzi w nowej red keyi? Dawnośmy się nie widzieli

— Wybornie. Pierwszy raz w życiu czuję się nieco zadowolonym. Chodźmy do Stueckiego. Przejmujące zimno; będzie odwilż.

Weszli do cukierni.

Niewodowski, ogrzawszy się koniakiem, począł opowiadać o stosunkach redakcyjnych. Ze słów jego widać wesołość i szczerą zadowolenie. Jeszcze go nigdy Andrzej w takim nie widział humorze.

Pod koniec rozmowy dziennikarz ujął rękę przyjaciela w swe dłonie i zapytał wzruszony: — Mój Andrzeju!... mój ty zacy, szlachetny, przeczytaj!... powiedz szczerze, czyś mi już przebaczył?

— Co takiego? — zawołał Andrzej, udając niedomyślnego.

— Ach, co?... Ty nie masz pojęcia, ile ja się nagryzęm, namartwięm, ile gorzkich doznałem wyrzutów!... Ale widzę z twoich oczu, żeś mi przebaczył. Przekonałeś się, że wszystko nieprawda, com wówczas mówił i przebaczyłeś mi. O, tak ty jesteś niezwykłym człowiekiem; twoja równowaga, twój spokój, zawsze mi zachwycały. Ty jeden mogłeś tylko przejść śmiało po tej piekielnej drodze, którą ci zgotowałem, a później zapomnieć i przebaczyć.

Andrzej zaśmiał się głośno.

Upewnił przyjaciela, że w godzinę po słbie zapomniał o jego słowach i odtąd nigdy o nich nie myślał, poczem zwrócił rozmowę na inny przedmiot.

Przed trzecią opuścili kawiarnię.

Niewodowski poszedł do drukarni, Radowiecki udał się na posiedzenie.

XVII.

Słowa Niewodowskiego przywiodły mu na myśl żywo szczegóły dnia slubu i chwilę pożegnania kolegow w kasynie. Pytał go oni wówczas, co nazywa swem szczęściem. Odpowiedział: Szczęście moje, to pogon za apokaliptycznym kucem, zmieniającym często kształty i barwę, pogoni, podobna do wyszków Tantala.

Czyż nie mówił prawdy?

Przechodząc przez salę obrad, kroczył dumnie, kłaniał się już zebrzanym członkom i zdążył ku estradzie przyzdyjalnej, gdzie się mieściły stoliki dyrekcji. Nie zbliżając się do żadnego z akcyonaryuszów, zajął swe miejsce spokojnie i czekał.

Nie obawiał się żadnych wycieczek, za-

dnego ataku — owszem, pragnął walki zajądziej, pragnął z całej duszy i czuł, że to, co na każde cięcie, odpowie, będzie miało moc druznącą. Pocóż miał płaszczyć się, schlebnić tym panom, seiskać im ręce, sztucznie wkładać się w ich łaskę, skoro tego rodzaju postępowanie nie wiodło do prawdziwego zwycięstwa; on chciał zwyciężyć z godnością, lub z godnością ustąpić.

Obrady zaczęły się. Książę-prezes ujął chudą ręką główkę dzwonka i dał znak Sprawozdawca komisji zabrał głos.

Obojętnie wysłuchał Andrzej suchego sprawozdania i urzędowej krytyki swej całorocznej działalności. Krytyka ta wypadła dodatnio. Komisya bez przesady i pochlebstw zdała sprawę i wniosła udzielenie radzie zawiadowczej i dyrekcji absolutoryum.

Teraz dopiero powini być posypać się strzały z przeciwnego obozu i tych oczekiwał dyrektor spokojnie. Jakoż nie zawiódł się. Kilku mowców zgłosiło się do głosu i uderzyło z różnych stron na dyrekcję. Mowy ich były widocznie z gory uplanowane, każda z nich bowiem osłaniając radę zawiadowczą i schlebając jej nawet, uderzała wprost na dyrekeję. Jeden z mowców rozowodził się szeroko o zachwianiu się opinii publicznej wskutek wrogiego dla Towarzystwa wystąpienia niektórych pism; drugi zaznaczał zbytnią powściągliwość dyrekcji w traktowaniu pewnych spraw, którym możnaby cokolwiek więcej zaufać, trzeci podnosił, jakoby drobne obywatelstwo uskarżało się na złe traktowanie ich przez dyrekeję podczas zawierania umów itd.

Andrzej słuchał tych skarg obojętnie i uśmiechał się.

